



NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

PENNY JORDAN

ZŁOTA KOLEKCJA

Na dobre i na złe

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Penny Jordan

Na dobre i na złe

Przełożyła:
Ewa Ćwirko-Godycka

PROLOG

Fern była w sypialni na piętrze, gdy usłyszała nadjeżdżający samochód. Widziała, jak gwałtownie hamuje, Nick szybko wysiada, zatrząskuje drzwiczki i patrzy w górę.

Automatycznie odsunęła się od okna i w tej samej chwili przystanąła, dostrzegając swoje odbicie w lustrze nad toaletką. Zmęczona twarz, puste i martwe oczy. Czy tak samo puste i martwe jak jej małżeństwo z Nickiem?

Odwróciła się od lustra i pospieszyła na dół.

To oczywiście jej wina, że Nick jest w złym humorze. Nie powinna mu była wczoraj mówić, że zbyt długo pracuje. Nie cierpiał tego mieszania się w jego życie, jak to nazywał. Nie znosił żadnych ograniczeń, nawet najłagodniejszej krytyki. Wczoraj koniecznie chciał wiedzieć, co jej się stało. Pytał, czy nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie ma szczęście. Czy nie wie, ile kobiet chętnie zamieniłoby się z nią na jej los?

- Jesteś moją żoną - perorował po raz któryś z rzędu. - Nic tego nie zmieni.

Obietnica czy groźba?

Walczyła z poczuciem winy, starając się wyciszyć swoje buntownicze myśli. Trudno odmówić mu racji. Naprawdę ma szczęście, że jest jego żoną, zwłaszcza że...

Teraz spotkali się w kuchni. Gdy go ujrzała, poczuła, jak tężeje z napięcia, i automatycznie odwróciła głowę. Nick był bardzo przystojny, a jednak ostatnio zdarzało się, że nie mogła na niego patrzeć.

- Kocham cię... Musimy być razem... Nigdy nie pozwolę ci odejść - powiedział tego dnia, kiedy poprosił ją o rękę, ona zaś, zauroczona jego słowami, oszołomiona i zarazem zamroczona szybkością, z jaką zapanował nad jej życiem, nie potrafiła mu się oprzeć. No ale wtedy czuła się mile połączona, przepełniona radością z powodu jego oświadczyn.

A potem...

Teraz jednak, mimo że stała w drugim końcu kuchni, poczuła, że Nick wraca od kobiety. Instynktownie postąpiła krok do tyłu. Czy on ma znowu jakiś romans? Wczoraj, gdy o to spytała, zaprzeczył. Ale czyż nie pragnęła takiej odpowiedzi, skoro tyle zainwestowała w to małżeństwo, tyle poświęciła? Może za wiele?

Dlaczego dalej z nim mieszka, skoro on ma inną kobietę? Ale czy może odejść? Małżeństwo to zaangażowanie na całe życie, a jeśli rodzą się w nim problemy, trzeba je rozwiązywać. A może lepiej je ignorować? Ze ściśniętym sercem zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem tchórzliwa.

- Co ci jest? - spytał Nick kwaśno. - Chyba już się nie dąsasz?

Fern sięgnęła po czajnik i opuściła głowę. Pasma włosów zasłoniło jej twarz.

- Mam dla ciebie wiadomość - dodał Nick.

Teraz przemówił innym tonem. Pobrzmiwała w nim chyba nuta triumfu, jakby rozkoszował się myślą o tym, co jej za chwilę obwieści. Fern zeszywniała ze strachu, lecz starała się tego nie okazać. Poczula w sercu dojmujący ból: więc do tego już doszło, że ukrywa przed nim swoje reakcje, chowa twarz...

- Wydaje mi się, że mój przybrany, świętobliwy braciszek ma zamiar kupić dom Broughtonów.

Fern zacisnęła palce na rączce czajnika. Dobrze, że stała odwrócona do Nicka tyłem.

- Ciekaw jestem, po co mu taki duży dom. Z tyloma sypialniami... Przecież to domiszcze dla całej rodziny! - Teraz w jego głosie już wyraźnie

zabrzmiała wstrętą nutą triumfu. – Szkoda, że nie ma rodziny, prawda? A może ma zamiar ją założyć... Co ci jest, Fern? Czy powiedziałem coś, co mogłoby cię zdenerwować? Och, przepraszam, zapomniałem... Tobie się ten dom zawsze podobał. Często tam kiedyś bywałaś... Nie chciałem...

– Czasami odwiedzałam panią Broughton, to wszystko – odparła spokojnie.

Dlaczego on jej to mówi? Wie równie dobrze jak ona, że nie ma w tym wszystkim sensu. Wie, jak gorzko tego żałowała.

– Spałaś z nim, Fern? – spytał kiedyś. – Powiedz.

W odpowiedzi po policzkach spłynęły jej łzy. Gardło ścisnął nieznośny ból.

– On ciebie nie chce, wiesz o tym, prawda? – powiedział jej wtedy łagodnie i tak jakoś kojąco, mimo że nie miał najmniejszego powodu być wówczas dla niej dobry.

Gdyby kiedyś wcześniej okazał jej tyle ciepła, tyleż samo współczucia, czy to cokolwiek by między nimi zmieniło? Ilu mężczyzn po czymś takim chciałoby utrzymać związek? Niewielu. Niewierność mężczyzny to jedno, niewierność natomiast kobiety...

– Jesteś moją żoną – tłumaczył jej wówczas, gdy się załamała i spytała, dlaczego nie chce rozwodu.

- Fern, małżeństwo zawiera się na całe życie. Przecież rodzice zawsze ci to mówili.

Jest jego żoną. Chciał utrzymania tego małżeństwa; twierdził, że potrzebuje jej - skąd więc nagle ta pustka między nimi, ten rozdzźwięk, niesmak, który podkopał jej poczucie dumy i szacunek dla siebie?

- Idę wziąć prysznic - odezwał się teraz.

Zmyć z siebie zapach kobiety? Czyż nie wie, że już na to za późno? Czajnik zagwizdał i wyłączył się. A więc Adam chce kupić dom Broughtonów i... ożenić się. Mimo że była na to przygotowana, ból był tak dojmujący, że zachłysnęła się powietrzem. Adam to tylko mój szwagier, powtórzyła w myślach po raz nie wiadomo który. To tylko mój szwagier. Nic mnie z nim nie łączy. Nic mnie nigdy z nim nie połączy...

Eleanor zobaczyła to ogłoszenie w poczekalni u dentysty, kiedy przerzucała najnowszy numer *Country Life*.

Najpierw przykuło jej uwagę zdjęcie: dom, ustawiony frontem na południe, został sfotografowany w słoneczny dzień, toteż jego kamienne mury przybrały odcień starego złota, a w mansardowych szybkach pobłyskiwały bursztynowe refleksy

światła. Ten dom wyglądał na zasiedziały, solidny, wieczny, bezpieczny i spokojny. W nim na pewno można znaleźć schronienie przed burzliwymi wydarzeniami życia.

Wpatrywała się w zdjęcie tak długo, że nie usłyszała pielęgniarki zapraszającej ją do gabinetu.

Później, gdy już dotarła do domu i zorientowała się, że niechcący wsunęła magazyn do torby, stłumiła poczucie winy i położyła go na biurku, myśląc, że trzeba go wyrzucić. Z jakiegoś jednak powodu nie uczyniła tego... Również z jakiegoś powodu, później tego samego dnia, kiedy zrobiła sobie przerwę na herbatę po wyjątkowo trudnym tłumaczeniu z hiszpańskiego jakichś dokumentów dla jednego ze swych klientów, więc później, popijając tę herbatę, znowu zaczęła przerzucać magazyn i znowu zainteresowała się tym samym zdjęciem. Tym razem przebiegła wzrokiem informacje zamieszczone pod fotografią, choć cała jej uwaga była skupiona na domu, z którego promieniowało dziwne ciepło, jakby z sanktuarium...

Sanktuarium? To słowo podziałało na nią niczym wyrzut sumienia i poczuła ostre ukłucie w sercu. Po co jej sanktuarium? Czowała się szczęśliwa w swoim drugim związku małżeńskim, miała znakomitą pracę, dwóch dobrze rozumiejących się

synów. Była jedną z najszcześniejszych kobiet, jakie znała. Wszyscy tak mówili...

- Udało się! Udało się! Udało! - powtarzała z radością Zoe, wrywając się z ramion Bena, by odtańczyć triumfalnego pirueta. Ben chwycił ją w pól i potrząsnął głową.

- Nie ciesz się na zapas - ostrzegł. - To tylko pierwszy etap. Teraz musimy trzymać kciuki, żeby znaleźli odpowiednie miejsce.

Jego zmarszczone czoło i malująca się na twarzy powaga bezgranicznie ją kiedyś fascynowały, czasami jednak ze smutkiem przyznawała, że nie potrafi tego zrozumieć. Dlaczego Ben zawsze sprawia wrażenie, jakby się bał, że los za chwilę wymierzy kolejny cios? Dlaczego nie potrafi dzielić z nią radości? A może jednak jest trochę niesprawiedliwa: wiedziała wszak, że na swój własny sposób Ben podziela jej uczucia i że, choć wprawdzie by umarł, niż się do tego przyznał, ten pierwszy krok na drodze, którą sobie upatrzyli, jest dla niego niezmiernie ważny.

- Benedict Fraser, Restaurator Roku - powiedziała śpiewnie, nie pozwalając mu wytrącić się ze stanu upojenia. - Wszystko jest jasne. Benedict Fraser, z pomocą swej niezwykle atrakcyjnej

i utalentowanej współpracownicy, panny Zoe Clinton, w sielankowej restauracji poza miastem, będącej niewątpliwie największym sukcesem tego roku...

- Przestań. Jeszcze nie mamy tej restauracji. A przynajmniej nasz sponsor musi jeszcze...

- Nasz sponsor... O Boże, to nie do wiary. I pomyśleć, że to tylko dlatego, że w ostatniej chwili zająłeś się przygotowaniem tego śniadania na wesele Hargreavesów!

- Nigdy bym tego nie zrobił, gdybyś mnie nie zmusiła. Nie lubię śniadań weselnych, zwłaszcza gdy trzeba je organizować w ostatniej chwili. To twoja zasługa.

- Nie - ucięła krótko. - To nasza zasługa. Stanowimy dobraną parę, Ben. - Rzuciła mu spojrzenie spod oka i dodała: - W łóżku i poza nim...

Tak jak się spodziewała, wzmianka o ich bliskiej zażyłości wprowadziła go w lekkie zakłopotanie. Jak na mężczyznę, który był tak znakomitym kochankiem, przejawiał dziwne zażenowanie, gdy ktoś mówił głośno na temat seksu. Może to sprawa wychowania? Zoe potrząsnęła głową i postanowiła o tym nie myśleć, nie chcąc psuć sobie nastroju.

- Jak myślisz? Ile czasu Clive Hargreaves może szukać odpowiedniego miejsca?

- Nie wiem. Ale najwyraźniej już się do tego zabrał. Kiedy podpisywaliśmy umowę, jego biurko było zavalone różnymi prospektami.

Zoe uśmiechnęła się z zachwytem.

- Wreszcie! Teraz już nic nam nie przeszkodzi. Wszystko na nas czeka. Wszystko, o czym marzyliśmy. Nasza własna restauracja, którą potem rozbudujemy w mały hotelik. Ty będziesz szefem, a ja zajmę się administracją. Dokładnie tak, jak chcieliśmy.

- Tak jak ty chciałaś, Zoe. Mnie by to nigdy nie przyszło na myśl... - Ben urwał i pokręcił głową. - Nie pojmuję, jak to się stało, ale tyle to dla mnie znaczy... Zoe, ty chyba nie zdajesz sobie sprawy...

- Ależ tak - powiedziała z uśmiechem. - Wiem, co dla ciebie znaczy własna restauracja. Wiem, jakie to dla ciebie ważne.

- Pod warunkiem, że nic się nie stanie...

- Nic się nie stanie. Co by się mogło stać? Umowy są podpisane, jesteśmy na dobrej drodze. Przestań się martwić. Nic się nie stanie, obiecuję ci.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Eleanor powstrzymała okrzyk zniecierpliwienia, gdy samochody znowu utknęły w miejscu. O tej porze Londyn jest właściwie nieprzejezdny, zwłaszcza gdy jest tak szaro i mokro, zwłaszcza gdy niebo jest zasnuwane gęstymi chmurami, a nieliczne kwiaty, jakie się ukazały na krzewach, bezlitośnie smaga okrutny, wschodni wiatr.

Strumień samochodów posunął się odrobinę i Eleanor zaczęła odliczać do dziesięciu. Spóźni się, a ma spotkanie o dziewiątej trzydzieści. Nowy klient. Zagryzła z irytacją wargi, przypominając sobie ostatnią rozmowę z księgowym. Jeszcze nie są w złej sytuacji, lecz koszty utrzymania biura rosną; w ciągu minionych osiemnastu miesięcy czynsz wzrósł dwukrotnie i zanoszi się na kolejną podwyżkę. W całym zresztą mieście takie małe firmy jak ich, działające w otoczeniu koncernów i wielonarodowych korporacji, zaczynały odczuwać skutki oszczędności czynionych przez te ostatnie.

Lawinowa fala zamówień, jakie otrzymywały wraz z Louise pod koniec lat osiemdziesiątych, zaczęła teraz szybko opadać, a dochody, których

spodziewały się w związku z rozwojem integracji europejskiej, płynęły raczej cienką stróżką niż rzeką.

Dawniej Eleanor wynajmowała mieszkanie w pobliżu biura, później jednak, gdy wyszła za mąż za Marcusa i wraz z synami przeniosła się do jego eleganckiego domu w Chelsea, podróże przez miasto stały się prawdziwą gehenną.

A poza tym dlaczego ta okropna pogoda potrafi do tego stopnia spowolnić ruch? Eleanor naprawdę chciała dzisiaj być w pracy wcześniej, ale najpierw Tom zaspał i zszedł późno na śniadanie, potem Gavin posiał gdzieś cały swój rynsztunek piłkarski, toteż gdy w końcu ulokowała w samochodzie synów wraz z ich ekwipunkiem szkolnym, już była spóźniona.

Marcus dawno był po śniadaniu i zaszył się w swoim gabinecie. Gdy tam weszła, ściągnął brwi i odłożył dokument, nad którym pracował. Jeszcze dziś, po trzech latach znajomości i niespełna roku małżeństwa, jej serce biło szybciej na jego widok. To chyba trochę niezwykła reakcja jak na kobietę, która ma wkrótce skończyć trzydzieści dziewięć lat. I pomyśleć, że zanim go spotkała, szczyła się swoim zdrowym rozsądkiem oraz świadomością, że do rozpadu jej pierwszego małżeństwa

doprowadziły pewne błędy w interpretacji różnych zdarzeń i źle ulokowane romantyczne mrzonki.

Zanim dojrzała akta w ręce Marcusa, miała ochotę go poprosić, by odwiózł chłopców do szkoły, która była bliżej jego kancelarii w Lincoln's Inn niż jej biura. Jednak mimo że łączyło ich prawdziwe uczucie, gdzieś w głębi duszy uważała, iż odpowiedzialność za Toma i Gavina spoczywa na niej, a Marcus jest odpowiedzialny za Vanesę.

Vanessa... Na myśl o córce Marcusa poczuła ukłucie w sercu. Gnębiła ją myśl, że nie potrafi nawiązać z nią dobrych stosunków. Eleanor poznała Marcusa siedem lat po jego rozwodzie, ilekroć jednak Vanessa przyjeżdżała do nich w odwiedziny, Eleanor czuła się skrępowana i spięta, nawet w swojej sypialni. Dziwne...

Być może problem ten częściowo wynikał stąd, że dom w Chelsea był za mały dla dwojga dorosłych i trojga dzieci. Marcus kupił go po rozwodzie: dla kawalera czy bezdzietnego małżeństwa był to dom idealny - mały, lecz elegancki. Na parterze był pokój dzienny połączony z kuchnią, jadalnia i gabinet Marcusa, a na piętrze salon na tyle duży, by wzięty adwokat mógł wydawać przyjęcia. Obie sypialnie były również spore i każda z nich miała swoją łazienkę. Wszystko więc byłoby w porządku,

gdyby nie to, że od czasu do czasu w domu mieszkało jednocześnie troje dzieci. Kiedyś w dużej sypialni, którą zajmowali obecnie jej synowie, nocowała Vanessa. Otwarcie dała Eleanor do zrozumienia, że i teraz nie zamierza z tego przywileju zrezygnować.

Z tego też powodu Tom i Gavin musieli się w czasie wizyt Vanessy męczyć w dusznym pomieszczeniu na poddaszu, które początkowo miało być li tylko pokojem gościnnym. Eleanor bardzo kochała Marcusa i wiedziała, że on odwzajemnia jej uczucie, ale przeżył samotnie siedem lat i przyzwyczał się do uporządkowanego trybu życia, pozbawionego napięć, które teraz zdawały się burzyć ich spokój.

Najlepiej byłoby znaleźć jakiś większy dom, w którym wszyscy by się wygodnie pomieścili. Problem polegał jednak na tym, że duże domy są w Londynie obłąkańczo drogie, trudno więc było nawet myśleć o przeprowadzce.

Firma Eleanor prosperowała na razie całkiem nieźle, Marcus zaś, jako renomowany adwokat, specjalizujący się w uzyskiwaniu odszkodowań, zarabiał dobrze, jednak życie w Londynie było kosztowne. Jej były mąż wziął ślub wkrótce po uzyskaniu rozvodu i miał już następne dziecko,

toteż nie był w stanie łożyć na wykształcenie trzynastoletniego Toma i jedenastoletniego Gavina. A ich edukacja będzie jeszcze sporo kosztowała, zwłaszcza jeśli zechcą studiować.

Eleanor odetchnęła z ulgą, gdy samochody nagle ruszyły. Pomyślała, że to ta okropna pogoda wprawia ją w taki ponury nastrój. O tej porze roku wszyscy już mają dosyć chłodu i deszczu i z utęsknieniem wypatrują odrobiny słońca.

Wraz z Marcusem zamierzali wyjechać w maju na tydzień do przyjaciół w Toskanii, lecz akurat weszła na wokandę jedna z jego ważniejszych spraw i zanosilo się na to, że trzeba będzie z wyjazdu zrezygnować.

Kiedy skręcała do podziemnego garażu gmachu, w którym mieściło się jej biuro, właśnie zaczęło mżyć. Gdy zamknęła samochód i pospiesznie ruszyła do windy, było już dobrze po wpół do dziesiątej.

Pracowała w nowoczesnym biurowcu, usytuowanym w sercu miasta. Ona i Louise zastanawiały się przez dobre parę tygodni, czy wynająć w nim lokal. Czynn timered nawet wtedy był bardzo wysoki, one zaś nie miały pojęcia, na ile zamówień mogą liczyć. Spotkały się zupełnie przypadkowo. Można właściwie powiedzieć, że dosłownie wpadły na siebie

w pewnej dużej firmie komputerowej, gdy Eleanor odnosiła tłumaczenia. Louise przyszła tam w tym samym celu i kiedy okazało się, że ich umiejętności językowe się uzupełniają, szybko podjęły decyzję o założeniu spółki.

Była to decyzja, która się sownie opłaciła. W ciągu czterech lat zyskały znakomitą opinię i stały się na tyle znane, że ich nazwiska pojawiały się w artykułach prasowych na temat kobiet interesu, które w latach osiemdziesiątych odniosły największy sukces.

Wtedy obie były samotne. Eleanor miała za sobą nieudane małżeństwo i jeszcze bardziej nieprzyjemny rozwód, toteż z radością rzuciła się w wir pracy - nie tylko dlatego, że potrzebowała pieniędzy, lecz również z tego powodu, że praca przynosiła jej ukojenie i pozwoliła zapomnieć o zranionej dumie. Louise, osiem lat od niej młodszą, właśnie otrząsała się z depresji po zakończeniu burzliwego związku z żonatym mężczyzną.

Fizycznie stanowiły swoje przeciwieństwo: Eleanor była wysoka i jasnowłosa, spokojna i powściągliwa w działaniu, Louise zaś - ciemnowłosa i niska, impulsywna i pełna energii. Psychicznie bardzo siebie potrzebowały - pomagały sobie nawzajem

uleczyć rany, jakie zadało im życie, i za wszelką cenę starały się odnieść sukces. Staraly? Eleanor zasepiła się, gdy winda stanęła na jej piętrze. Przecież w dalszym ciągu się staramy, zapewniła się w myślach. I naprawdę nie jest źle.

Ten biurowiec ogromnie im się spodobał z powodu wystroju wnętrza. Było w nim jasno i naprawdę ładnie. Biura zostały usytuowane wokół atrium, które dawało wrażenie otwartej przestrzeni. Dziś jednak Eleanor wydało się, że od marmuru i chromu bije chłód.

Pewnie znowu słabiej grzeją, pomyślała, idąc szybko do biura. Wszyscy najemcy narzekali nie tylko na następujące jedna po drugiej podwyżki czynszu, lecz także opłat eksploatacyjnych. Rzuciła przelotne spojrzenie na atrium i stwierdziła, że niektóre rośliny trochę zanadto błyszczą i są zbyt intensywnie zielone. Kiedy jej uwagę przykuła sterylna doskonałość białej lilii, pomyślała z niesmakiem, że to wszystko wygląda sztucznie. Taka roślinność jest nienaturalna pod ołowianym niebem Londynu; wymusza się jej wspaniałą urodę dzięki szklanej kopule i ogrzewaniu.

Claire, ich sekretarka, spojrzała na Eleanor z uśmiechem pełnym ulgi, gdy ta weszła do malutkiego holu.

Eleanor i Louise zadbały o wystrój biura, konsultowały się nawet w tej sprawie z zaprzyjaźnionym z Eleanor plastykiem, jednak to, co wydawało się awangardowe i modne w latach osiemdziesiątych, dziś, w okresie kryzysu, raziło podobnie jak owa bujna roślinność w atrium, niepasująca do spowitego mgłą Londynu.

- Monsieur Colbert już czeka - powiedziała Claire. - Zaproponowałam mu kawę, ale odmówił.

Eleanor podziękowała jej i weszła do gabinetu, szybko zdjęła płaszcz i przejrzała się w lustrze, po czym pospieszyła do pokoju, w którym obie z Louise przyjmowały klientów.

Pierre Colbert był Francuzem. Prowadził rozległe interesy, które sprowadzały go regularnie do Londynu, jak również do innych większych miast Europy. Był agentem kilku znanych domów mody i hurtowników, biznesmenem, który stał o dwa stopnie poniżej sławnych projektantów i dwa wyżej od popularnych firm zaopatrujących sklepy na głównych ulicach miast.

Gdyby udało się go pozyskać, stanęłyby na nogi. Eleanor wiedziała od innego z klientów, że jest niezadowolony ze swych obecnych tłumaczy, toteż przy jakiejś okazji zaproponowała mu swoje usługi. Ostrzegano ją jednak, że ciężko się z nim

pertraktuje, toteż gdy weszła do pokoju i zauważyła jego zniecierpliwione spojrzenie, odwaga nieco ją opuściła. Zawsze jednak robiła dobrą minę do złej gry, uśmiechnęła się więc uprzejmie i wyciągnęła do niego rękę.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała. - To przez te korki...

- Anglicy nie potrafią jeździć - przerwał szorstko.
- Korki są w Paryżu, tutaj jest bałagan...

- Może napije się pan kawy? - spytała, ignorując jego złośliwość.

- Kawy? - powtórzył z cierpkim uśmiechem. - Dziękuję, raczej nie.

Zastanawiała się, czy Colbert chce zmusić ją do reakcji na jego zjadliwość, czy po prostu nie zdaje sobie sprawy ze swego impertynenckiego zachowania. Miała już do czynienia z klientami, którzy w kontaktach z kobietami prowadzącymi firmy czuli się nieswojo i pokrywali brak pewności siebie agresją. Musiała więc znaleźć sposób, jak z nimi postępować.

Jakiś czas temu, pod koniec długiego popołudnia, które spędzili na kochaniu się, Marcus, gładząc z przyjemnością jej rozgrzaną skórę, powiedział sennym i ciepłym głosem: „Uwielbiam ten twój spokój, Nell. Jak to dobrze mieć przy sobie kobietę,

która jest zawsze taka łagodna i pewna siebie. Jak łatwo cię kochać”. Wkrótce potem poprosił ją o rękę.

- No tak, nie opanowaliśmy sztuki parzenia naprawdę dobrej kawy - zgodziła się z uśmiechem. Inna kobieta mogłaby zawahać się przed zastosowaniem pojedynczej taktyki, Eleanor jednak uważała, że tak w życiu trzeba postępować, że najważniejsze są spokój, dobre stosunki, zgoda i harmonia. Może przesadnie o to dbała? - Wasza kawa, podobnie jak wasze pieczywo, jest nie do zastąpienia - dodała - choć, o ile mi wiadomo, Marks & Spencer robią co mogą. Do wypieku croissantów i francuskiego chleba sprowadzają teraz mąkę z Francji.

- Są pani klientami? - spytał Pierre Colbert z ukrytym zainteresowaniem, rezygnując z agresywnego tonu.

Eleanor pozwoliła sobie na luksus lekkiego westchnienia ulgi.

- Niektórzy z ich dostawców są moimi klientami - oznajmiła i otworzyła teczkę, którą z sobą przyniosła. - Widzę tu, że prowadzi pan interesy z domami mody kilku głównych miast europejskich, a one z kolei zawierają umowy z producentami na Dalekim Wschodzie. Odzież

reprezentowanych przez pana domów mody będzie się najlepiej sprzedawała w naszych ekskluzywnych butikach w mniejszych miastach. Czy tak?

- Nie próżnowała pani.

Eleanor uśmiechnęła się do niego łagodnie, świadoma, że w interesach nie należy okazywać zbyt dużego zadowolenia.

- Jak mi wiadomo, w tej chwili korzysta pan z tłumaczy mieszkających we Francji, w Niemczech, we Włoszech i w Hiszpanii. My, oczywiście, możemy wykonywać wszystkie te usługi na miejscu, w Londynie.

- Podobnie jak każda z firm, z którymi współpracuję - skomentował, obrzucając ją przenikliwym spojrzeniem.

- Wiem - zgodziła się z uśmiechem, zdając sobie sprawę, że trudno będzie go przekonać do przerwania całości zamówień do jej firmy, toteż spokojnie zaczęła mu wyliczać wszystkie zalety. - Ale może pan nie wie, że moja współpracownica, Louise, specjalizuje się w językach bliskowschodnich. Zna też rosyjski.

- A czy bierze pani pod uwagę - wtrącił szybko - że po rozpadzie Związku Radzieckiego każde z nowych państw będzie chciało powrócić do swojego ojczystego języka?

- Oczywiście.

Była to prawda. Wraz z Louise zajmowały się ostatnio werbowaniem doświadczonych tłumaczy, którzy potrafiliby przekładać na zapomniane dotąd języki. Co prawda Eleanor jeszcze nie wiedziała, jak w swym pełnym zajęć dniu zdoła znaleźć czas na rozmowy i testy kwalifikacyjne dla tłumaczy, ale musi jakoś to zrobić. Miała zamiar zająć się przejrzeniem podań już podczas weekendu, ale nie było to proste. Po pierwsze, jedynym miejscem w domu, gdzie mogłaby pracować, była jej wspólna sypialnia z Marcusem, ale ponieważ mieszkała teraz z nimi Vanessa, która nastawiała radio na cały regulator, Eleanor nie mogła się skoncentrować, mimo że wiedziała, jak ważne jest w tej chwili rozszerzenie oferty firmy.

Muszą dostać te zamówienia od Colberta, i to szybko, bo inaczej pognębi je konkurencja. Eleanor miała jednak bardzo mało czasu. Zrezygnowała już z gimnastyki, na którą chodziła dwa razy w tygodniu, oraz z długiego niedzielnego lunchu, na którym raz w miesiącu spotykała się ze swą najlepszą przyjaciółką, Jade Fresham. W tym tygodniu i tak musiałyby z tego zrezygnować, ponieważ był to weekend, w którym Vanessa odwiedzała ojca.

Ta jego córka. Eleanor rozumiała, dlaczego Vanessie jest tak trudno zaakceptować drugą żonę ojca, ona jednak nie powinna mieć aż takich problemów z zaakceptowaniem Vanessy – była wszak częścią życia Marcusa, no i kochała go.

Jade wytknęła jej idealizowanie rzeczywistości. Eleanor nie pozostała dłużna i zarzuciła przyjaciółce cynizm. Jade wzruszyła na to ramionami przybranymi w piękne szatki i zmrużyła swoje zielone, kocie oczy.

- Każde z was ma za sobą małżeństwo i rozwód, czego więc oczekujesz? Posłuchaj mnie: nigdy, ale to nigdy nie spodziewaj się po dzieciach z poprzedniego związku mężczyzny niczego oprócz kłopotów, zwłaszcza gdy te dzieci to kilkunastoletnie pannie.

Może więc Marcus ma rację? Może powinna jednak postarać się o to, żeby Tom i Gavin wyjeżdżali do swojego ojca, kiedy Vanessa przyjeżdża do nich? Przynajmniej skończyłyby się te ciągłe kłótnie między przybranym rodzeństwem. Eleanor zastanawiała się, czy jest niesprawiedliwa, podejrzewając, że to Vanessa je prowokuje. Tom co prawda był przewrażliwiony i wykazywał tendencje do przesadnych reakcji, Gavin jednak był spokojnym i dobrym dzieckiem.

Tak, może i jest jakaś odrobina sensu w tym, żeby ograniczać do minimum spotkania między dziećmi, ale przecież nie na to liczyła, kiedy brała ślub z Marcusem. Nie przypuszczała co prawda, że połączenie dwóch rodzin pójdzie gładko, ale też nie przyszło jej do głowy, że jej stosunki z Vanessą mogą być aż tak deprymujące.

A zresztą, o czym tu mówić? To przede wszystkim Vanessa nie chciała utrzymywać żadnych stosunków ani z Eleanor, ani z jej synami. Czasami Eleanor odnosiła wrażenie, że ona i pasierbica są rywalkami, prowadzącymi cichą i śmiertelną walkę o Marcusa, chociaż sama robiła wszystko, żeby Vanessa nie uznała ślubu ojca za zagrożenie dla siebie. To Eleanor namawiała kiedyś Marcusa, żeby częściej widywał się z córką.

- Ona dobrze się czuje z matką - zbył ją wtedy.

- Ale ty jej też jesteś potrzebny - odpowiedziała.

- Ma pani męża i dzieci - usłyszała nagle głos Pierre'a Colberta i otrząsnęła się z niewesołych myśli. - Czy to nie przeszkadza pani w pracy?

- Jestem kobietą, monsieur - powiedziała z kamienną twarzą - a więc muszę znaleźć czas na wszystko.

Wyglądał na zdumionego i zarazem rozbawionego, pogratulowała więc sobie w myślach, że nie

wpadła w pułapkę i nie rzuciła mu w twarz, że nie śmiałyby spytać mężczyzny, czy żona i dzieci przeszkadzają mu w pracy. Był Francuzem, a co się z tym łączy, szowinistą, lepiej więc podkreślać przy nim zalety swojej płci, niż udawać na siłę równego chłopca.

Gdy się uśmiechnął, spojrzała na niego w zadumie, a potem oznajmiła rzeczowo:

- Moja współpracowniczka i ja uważamy, że oferujemy fachowe i konkurencyjne usługi, a pan zapewne jest tego samego zdania. Inaczej by tu pana nie było. Nie sądzę, żeby należał pan do ludzi, którzy marnują czas.

Zanim odwrócił wzrok, dostrzegła w jego brązowych oczach szacunek.

- Pani agencja jest jedną z kilku, jakie mi polecono - odparł wymijająco. - Jak pani wiadomo, zawsze opłaca się rozważyć kilka opcji, nawet jeśli od samego początku wiadomo, które z nich są warte uwagi, a które nie.

Wstał, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. Eleanor również się podniosła, na pozór opanowana, lecz miała uczucie, że Pierre Colbert nie nawiąże z nimi współpracy. Gdyby była mężczyzną, gdyby przynajmniej była Francuzką...

Odprowadziła go do drzwi i wróciła do pokoju po teczkę z jego dokumentacją. Musi opowiedzieć Louise przebieg spotkania.

- Czy Louise jest u siebie? - spytała sekretarkę.

- Tak, właśnie przyszła - odparła Claire.

Eleanor podziękowała jej uśmiechem i skierowała się do gabinetu współpracownicy.

Claire patrzyła na nią z zazdrością. Atrakcyjna, utalentowana, mąż obdarzony niezwyklej wprost charyzmą, który samą swoją obecnością wytwarza elektryzującą atmosferę. Claire rozpływała się na jego widok. Nigdy co prawda nie obrzucił jej uważnym spojrzeniem, ale gdyby nawet...

Eleanor zaś... była tak miła, że Claire nie wyobrażała sobie, by ktokolwiek mógł chcieć ją skrzywdzić. Tak, stanowili idealną parę i prowadzili styl życia, jaki Claire uważała również za idealny.

Mąż, praca zawodowa, dzieci - Eleanor to wszystko miała.

Chociaż zapukała do drzwi, Louise najwyraźniej nie usłyszała. Kiedy weszła do środka, współpracownica siedziała z głową pochyloną nad biurkiem, zaabsorbowana jakimiś papierami. Gdy Eleanor wymówiła jej imię, Louise pospiesznie zgarnęła

papiery, a na jej twarzy odmalowało się poczucie zakłopotania i jakby winy.

- Nell, nie słyszałam...

- Widzę, widzę. - Eleanor uśmiechnęła się. - Planujesz wakacje?

Wśród prospektów, które Louise właśnie chowała, Eleanor dostrzegła zdjęcie pięknego wiejskiego domu w stylu francuskiego chateau.

- Tak - odparła Louise niepewnym głosem.

- Chciałabym ci opowiedzieć o spotkaniu z Pierre'em Colbertem. Może pójdziemy razem na lunch?

- No... Nie mogę, przepraszam. Umówiłam się już z Paulem.

- Szczęściara - skomentowała Eleanor z nutą zazdrości w głosie. - Szkoda, że mój mąż nigdy nie ma czasu, żeby pójść ze mną na lunch. Ostatnio udaje się nam umówić tylko na kanapkę. - Nagle uświadomiła sobie, że współniczka wcale jej nie słucha. - Louise, coś się stało? - spytała cicho.

- Nie, nie - odparła.

Jakoś za szybko to powiedziała, pomyślała Eleanor, której intuicja zaczęła coś podpowiadać. Wiedziała, że Louise i Paula łączy bardzo burzliwy związek, który rozpoczął się wtedy, kiedy zostały współniczkami i Louise leczyła jeszcze rany po

swym poprzednim romansie. Z przykrością domyślała się także, że Paul usiłuje nad Louise dominować. Był typem człowieka, który musi utwierdzać się w przekonaniu o wyższości swojej płci, zmuszając bliskie mu kobiety do uległości.

Eleanor z czasem uświadomiła sobie, że Louise coraz częściej poprzedza każdą wypowiedź słowami: Paul mówi, Paul myśli, ukrywała jednak starannie swą niechęć do niego, uważając, że to Louise wybrała go sobie na męża, a nie ona. A poza tym, jeśli już ma być z sobą szczerą, powinna przyznać, że jej awersja do Paula wynika częściowo z faktu, iż jego sposób bycia przypomina nieco protekcyjne zachowanie jej byłego męża.

Skoro więc Louise ma jakieś problemy, to dlaczego nie chce zwierzyć się z nich przyjaciółce? Eleanor poczuła się z lekka zawiedziona, niemniej spróbowała jeszcze raz:

- Louise...

- Słuchaj, muszę iść. Przed spotkaniem z Pauliem czeka mnie jeszcze rozmowa z klientem. Nell, naprawdę nie mam czasu.

W drodze do swego gabinetu Eleanor skonstatowała pośpiesznie, że Louise jest dorosłą kobietą i jeśli nie chce jej zaufać, ona nie jest w stanie jej

do tego zmusić. Problem Eleanor polegał na tym, że miała silnie rozwinięty instynkt macierzyński.

- Ty po prostu musisz otoczyć się dużym wianuszkim dzieci - tłumaczyła jej kiedyś Jade.

Dużym wianuszkim dzieci... Aby zrekomensować sobie samotność swojego dzieciństwa. Eleanor skrzywiła usta. Trzydzieści dziewięć lat to nie pora na zaspokajanie takich potrzeb. Oczywiście, wiele kobiet w jej wieku, lub nawet starszych, rodzi dzieci. Z drugim mężem można stworzyć drugą rodzinę. Zastanawiali się kiedyś z Marcusem nad własnym dzieckiem. Takie dziecko wzmacnia często słabe więzi rozgałęzionej rodziny.

Zgodzili się jednak, że nie muszą w ten sposób przypieczętowywać swojej miłości. A poza tym było to w tej chwili niemożliwe. I tak z trudem wszyscy mieścili się w domu, a oprócz tego mnóstwo czasu zajmowała jej agencja i obowiązki wynikające z nowego małżeństwa. Marcus musiał bywać na licznych przyjęciach i uroczystościach, a ona, jako jego żona, chciała mu towarzyszyć; chciała po prostu z nim być.

Ich dni były jednak tak wypełnione zajęciami, czas biegł tak szybko, że ostatnio mieli mniej czasu dla siebie niż przed ślubem. Rodziło się w niej

coraz silniejsze pragnienie, aby tego czasu mieć więcej, więcej przestrzeni, aby spowolnić trochę rozgorączkowane tempo życia i móc cieszyć się nim, mieć możliwość smakowania jego przyjemności.

Bezpowrotnie minęły już dni, kiedy mogli przebywać ze sobą przez całe popołudnie lub wieczór albo wylegiwać się rano dłużej w łóżku. Bardzo brakowało jej tych godzin, które spędzali w ciszy jego domu lub jej mieszkania, mając czas wyłącznie dla siebie. Ostatnio nigdy nie byli sami.

Czy teraz, kiedy zamieszkali z nimi jej synowie, Marcus, kochając się z nią, czuł się równie nieswojo jak ona, kiedy przyjeżdżała do nich Vanessa? Czy takie zażenowanie jest tylko udziałem kobiet? A może jedynie kobiet mających dorastające pasierbice?

Chciała więc żywić nadzieję, że związek Louise jest udany. Eleanor nie lubiła Paula, lecz Louise go kochała. Przekonywała przyjaciółkę, że Paul jest cudownym ojcem, że niemal świata nie widzi poza dwójką swych synów, że we wszystkim im pomaga. No tak, pomyślała ze smutkiem Eleanor. Paul buduje wokół siebie i synów tak specyficznym męskim światem, że nie starcza w nim miejsca dla Louise.

Marcus miał dobre stosunki z Tomem i jeszcze lepsze z Gavinem, lecz nie był typem człowieka, który oddawałby się całym sercem wyłącznie męskim przyjemnościom, no a poza tym nie był ojcem jej synów. Louise kiedyś mimochodem napomknęła, że Marcus nie zajmuje się synami Eleanor tak, jak Paul swoimi.

Niepotrzebnie i nietaktownie... Eleanor zmarszczyła czoło i zaczęła gryźć paznokcie. Ten nawyk pozostał jej z dzieciństwa, robiła to też jako panna, a później jako młoda żona i matka. Po rozwodzie postanowiła zarzucić ten zwyczaj, i gdy wytrwała w swoim postanowieniu, uznała, że jest już w stanie poruszyć nawet góry. No i co? Dziś miała powody uważać się za szczęśliwszą i zamożniejszą niż kiedykolwiek przedtem, i oto nagle powróciło owo nieprzyjemne przyzwyczajenie z dawnych lat.

Dlaczego? Za miesiąc wypada pierwsza rocznica ich ślubu. W owym uroczystym dniu przed niespełna rokiem była taka szczęśliwa, pełna optymizmu, wiary. Nie zdawała sobie jednak wtedy sprawy, jak trudno będzie im wszystkim przystosować się do nowego życia.

Nagle zadzwonił telefon. Gdy usłyszała głos Marcusa, jej twarz rozjaśnił radosny uśmiech.

- Kochanie, jaka miła niespodzianka.

- Eleanor, czy możesz przyjechać do domu? Dzwonili ze szkoły. Tom podobno nie czuje się dobrze. Jadę teraz po niego, ale chyba będziesz mu potrzebna.

- Tom? Co się stało? Powiedzieli coś?

- Spokojnie. Na pewno to nic poważnego, bo wtedy zadzwoniliby do szpitala, a nie do mnie. Próbowali skontaktować się z tobą, ale miałaś jakieś spotkanie.

Spotkanie? Aha, dzwoniли widocznie wtedy, kiedy rozmawiałam z Colbertem, pomyślała Eleanor z poczuciem winy. Czy tylko odniosła takie wrażenie, czy w głosie Marcusa rzeczywiście pobrzmiwała irytacja? Wiedziała, że nie znosi, kiedy mu się przeszkadza w pracy.

Wstała, chwyciła płaszcz i torebkę i wbiegła do sekretariatu. Claire nie było za biurkiem, zastukała więc w drzwi gabinetu Louise i weszła do środka. Wspólniczka rozmawiała właśnie przez telefon.

- Nie, jeszcze jej nie mówiłam. Nie... - Kiedy ujrzała Eleanor, zaczerwieniła się i patrzyła na nią przez chwilę w milczeniu, po czym szybko rzuciła do słuchawki: - Słuchaj, muszę już iść.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedziała Eleanor - ale muszę jechać do domu. Tom podobno

jest chory, dzwonił ze szkoły. Na szczęście, nie mam już dziś żadnych spotkań...

Ona mnie znowu nie słucha, pomyślała Eleanor. Louise miała wypieki na twarzy i umyła wzrokiem w bok. Ona czuje się w mojej obecności nieswojo. Każdego innego dnia zastanowiłaby się nad tym głębiej, tym razem jednak niepokój o stan zdrowia syna i myśl, że rano niczego nie zauważyła, przesłonił jej wszystko.

W drodze do domu przeklinała korki, jeszcze większe o tej porze niż rano, smród spalin i duszne powietrze wdzierające się do wnętrza samochodu. Napięcie, które ostatnio nigdy jej nie opuszczało, w tej chwili dosłownie rozsadało jej czaszkę.

Chociaż w ich domu był garaż, mieścił się w nim jedynie samochód Marcusa, przed samym domem zaś jak na złość ktoś zaparkował, toteż musiała przejechać spory kawałek, zanim znalazła wolne miejsce. Kiedy wpadła do domu, cicho zawołała Marcusa.

- Jestem tutaj - odpowiedział, wychodząc z gabinetu.

- A gdzie Tom?

- W kuchni.

- W kuchni! - Eleanor spojrzała szeroko otwartymi oczami na męża, czując, że wzbiera w niej

złość. Czy przemawiałby takim samym obojętnym tonem, gdyby to jego dziecko było chore? Poczuli się zażenowana tą myślą, wiedząc, że jest niesprawiedliwa. Rozebrała się i wpadła do kuchni. Tom siedział skulony w fotelu w części jadalnej, wpatrzony w jakieś migające obrazki na ekranie telewizora.

- Tom?

Gdy nie odpowiedział, Eleanor powtórzyła jego imię głośniej. Syn niechętnie odwrócił głowę w jej stronę. Jest blady, pomyślała. Dlaczego rano tego nie zauważyła? Co z niej za matka?

- Jak się czujesz, kochanie? - spytała i położyła mu rękę na czole. Nie było gorące.

- Źle - jęknął. - Mówiłem ci rano.

Rzeczywiście powiedział, że nie chce iść do szkoły, ale wytłumaczyła to sobie faktem, że w poniedziałek rano większość ludzi jest na ogół w złym humorze, a Tom na dodatek zasnął.

- Zrobiło mi się niedobrze - wyjaśnił. - Na lekcji z panem Pringle.

Eleanor była coraz bardziej przygnębiona.

- Czuję się jakoś dziwnie, mamó. Boli mnie głowa i szyja.

Eleanor poczuła narastające przerażenie. Prasa donosiła niedawno o kilku przypadkach zapalenia opon mózgowych.

- A oczy? - spytała zaniepokojona. - Bolą cię?

- Chyba trochę też...

Pół godziny później, gdy ułożyła syna w łóżku i wezwała telefonicznie lekarza, spytała Marcusa niespokojnie:

- Jak sądzisz, czy ten ból głowy to zapalenie opon mózgowych?

- Wątpię - odparł sucho. - Myślę, że jest to typowy poniedziałkowy ból głowy, zwłaszcza że wczoraj wieczorem twój syn zjadł po kryjomu pół kilograma lodów.

- Co takiego? - spytała zdumiona.

- Rano znalazłem puste pudełko.

Eleanor potrząsnęła głową.

- No, nie wiem. Mówi, że bolą go oczy.

- Sam to stwierdził, czy może mu zasugerowałaś?

- Jestem twoją żoną - warknęła - a nie świadkiem strony przeciwnej.

Zauważyła, że zmarszczył czoło, lecz zanim zdążyła go przeprosić, zadzwonił dzwonek u drzwi.

- To chyba lekarka - rzuciła pospiesznie. - Pójdę otworzyć.

- Ależ proszę nie mieć wyrzutów sumienia - uspokoiła ją lekarka piętnaście minut później. - Ja też jestem matką i wiem, jak to jest. A poza tym zawsze lepiej sprawdzić, co dziecku dolega, niż się potem dręczyć. Na szczęście tym razem to tylko niestrawność i potrzeba bliskości matki.

- Miałeś rację - powiedziała Marcusowi, odprowadziwszy lekarkę do drzwi. - To tylko niestrawność. - Podniósł głowę znad papierów i uśmiechnął się do niej. - Przepraszam za to, co powiedziałam.

- Nie gniewam się - odparł pojednawczo i dodał: - Powinienem był pamiętać, że nie należy kwestionować osądu matki.

Z jakichś powodów jego komentarz rozdrażnił ją. Co chciał przez to powiedzieć? Czy miał na myśli wszystkie matki, czy jedną konkretną - może matkę swego dziecka?

Kiedyś powiedział jej, że bardzo się różni od jego byłej żony. Pamiętała, że te słowa sprawiły jej wielką przyjemność. Nie chciała być drugą Julią, kopia kobiety, która niegdyś była ważna w życiu jej obecnego męża. Była szczęśliwa, że kochał ją taką, jaka jest, i za to, że w ogóle jest - w przeciwieństwie do Allana, który po krótkim okresie euforii życia małżeńskiego przestał w niej widzieć

kobietę, a dostrzegał jedynie matkę swych dzieci. Kiedy je urodziła, nie potrafił już adorować jej jako kochanki, a oprócz tego zarzucał jej, że dzieci są dla niej ważniejsze niż on.

- A propos - odezwał się Marcus. - Na ósmą jesteśmy zaproszeni do Lassiterów. O której przyjdzie opiekunka?

Eleanor zmartwiała. O Boże! Kolacja u Lassiterów. Na śmierć o tym zapomniała. Jak to się stało? Harold Lassiter był najstarszym adwokatem w kancelarii Marcusa; krążyły pogłoski, że ma wkrótce zostać powołany na sędziego.

Marcus nie miał instynktu rekina ani takich ambicji zawodowych jak jej poprzedni mąż, niemniej był absolwentem elitarnych szkół brytyjskich, a na dodatek miał ojca oficera, toteż z całą skrupulatnością przestrzegał zasad dobrego wychowania, które wielu ludziom wydają się dziś dziwaczne i przestarzałe. Prawdę powiedziawszy, jego manery były jedną z pierwszych rzeczy, jakie ją w nim urzekły.

A Jade, jak to Jade, roześmiała się z niedowierzaniem, kiedy Eleanor zdradziła jej swój sekret.

- Co?! - zawołała wówczas i wzniosła oczy do nieba. - Z tobą jest chyba coś nie tak! Poznajesz faceta z charyzmą, takiego, jakich się już niemal nie

spotyka, i widzisz tylko tyle, że szarmancko otworzył ci drzwi i przepuścił przodem. Przecież chyba wiesz, że w ten sposób chciał sprawdzić twoją urodę. – Kiedy Eleanor zrobiła zdziwioną minę, Jade ironicznie wyjaśniła: – Twoją urodę od tyłu, idiotko. Nie wiesz, że mężczyznom podobają się zgrabne tyłeczki?

– Zapomniałaś? – spytał Marcus ostro, widząc jej zmieszaną twarz.

– Nie wiem, jak mam cię przeproszać. Chciałam załatwić opiekunkę w sobotę, ale zadzwoniła Julia i spytała, czy może przyjechać do nas Vanessa, i...

– A niech to!

– Zaraz zadzwonię do Jade. Może ma czas.

Kiedy wykręcała numer, z góry dobiegł głos Toma:

– Mamo! Niedobrze mi!

Pospiesznie odłożyła słuchawkę i pobiegła na górę. Tom był w łazience i wymiotował. Może to przez te lody, i może spotyka go zasłużona kara, lecz wyraźnie był przestraszony. Dotąd zawsze dawał jej do zrozumienia, że jako trzynastoletni chłopak jest za stary, żeby tulić się do matki, lecz gdy objęła go i odprowadzała do łóżka, stwierdziła, że tym razem kurczowo się jej trzyma.

- Zostań ze mną - poprosił, kiedy go ułożyła, pogłaskała po głowie i wstała z zamiarem odejścia.

- Nie mogę, kochanie. Muszę zadzwonić do cioci Jade i spytać, czy nie mogłaby was popilnować.

Usiadł gwałtownie na łóżku i przytrzymał ją mocno za rękę. Miał zaczerwienioną twarz.

- Nie chcę jej. Chcę, żebyś ty została.

Eleanor przytuliła go ze smutkiem. Nigdy tak się do niej nie garnął... Może lekarka się pomyliła? Może jest poważniej chory, niż im się wydaje?

- Kochanie, ale ja muszę wieczorem wyjść...

- Nie musisz - powiedział ze złością. - Ty już nie chcesz z nami być. Ty chcesz być z nim.

Eleanor czuła, jak ogarnia ją rozpacz.

- Tom, to nieprawda!

Uznała jednak, że nie może iść na tę kolację do Lassiterów. Nie dziś, kiedy Tom jest tak zdenerwowany i tak dziwnie się zachowuje. Marcus, oczywiście, będzie niezadowolony. Czuła, jak jej serce przepelnia rozpacz pospołu z niepokojem i paniką, i odniosła wrażenie, że życie wymyka się jej spod kontroli. Dlaczego? Przecież ma wszystko, o czym marzy każda kobieta. Dosłownie wszystko.

Ale też ma problemy, jakich żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie chciałaby mieć. Najpierw księgowy informuje ją o malejących zyskach

i rosnących kosztach, a potem wspólniczka zaczyna mieć kłopoty, które utrudniają współpracę. Ma jeszcze pasierbicę, która zachowuje się wobec niej wrogo i uważa ją za rywalkę w walce o uczucia ojca; ma też syna, który właśnie zachwiał jej przekonaniem, że zdołała zwalczyć w sobie poczucie winy z powodu rozwodu, który ograniczył kontakty jej dzieci z ich ojcem.

Ma wreszcie umeblowany antykami i wyłożony dywanami dom, którego zazdrościły jej samotne przyjaciółki, lecz który nie stanowi prawdziwego domu dla jej dwóch dorastających synów.

Ma coraz silniejsze uczucie, że przestaje panować nad wieloma rzeczami.

No i w końcu ma męża, którego kocha i który ją kocha, a więc skoro o tym wie, miłość powinna zrekompensować jej wszystkie troski, czyż nie?

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).